

Zapraszamy na drugą część rozdziału CZAS EVERESTU.

10 PAŹDZIERNIKA. Bernd, Robert, Willy i ja idziemy z obozu I do II. Obawialiśmy się głębokiego śniegu, jednak wiatr i słońce tak go sprasowały, że prawie nie zapadamy się. Mijamy obóz Anglików. Od strony Nuptse zmierzają ku nam trzy postacie. Domyślamy się, że to wraca zespół angielski, rezy-

gnując z poprowadzenia nowej drogi filarem Nuptse. Zatrzymujemy się. Mamy dla nich pocztę. Utyłani w śniegu, wyczerpani, siadają potem w słońcu i niecierpliwie rozerwą koperty przynoszące wiadomości z domu.

Dochodzimy do namiotów francuskich, przed którymi siedzą Kurt i Pierre. Są nie do poznania. Pierre, prawie nieruchomy, wystawia ku słońcu twarz wysmarowaną białą, ochronną maścią.

Z trudnością odpowiada na nasze powitanie. Ma ściągniętą odmrożeniami i oparzeniami skórę, popękane usta. Zszedł dopiero co z obozu III, jest wyczerpany walką o Przełęcz Południową. W tej chwili rozważa szansę wyprawy, chyba nikłe z przyczyny szalejącego wiatru. Słońce i spokój w obozie nie poprawiają jednak naszego nastroju.

W obozie II czeka mnie niemiła niespodzianka. Spotykamy pierwszy zespół szczytowy, który zszedł z obozu III. Razem jest nas w Dwójce już 14 osób. W tym kilka, których ze względu na swój psychiczny komfort wolałabym tu nie spotkać. W obozie panuje chaos. Z gotowaniem są kłopoty, gdyż kucharz Mingma – specjalnie wyekspediowany do tego obozu – źle znosi wysokość i nie podejmuje się gotowania.

W moim namiocie drzemie Kurt – przemarznięty, przewiany wiatrem, zmęczony. Ja również drzemię do osiemnastej, gdyż nie bardzo chce mi się siedzieć w „Manszaftcelcie”, czyli namiocie jadalnym. Dopiero głód zmusił mnie do działania. Koledzy dawno już zjedli kolację. Dobrałam się więc do jakiejś miski z suchymi płatkami. I wtedy Sigi ze złością powiedział:

– Zapytaj najpierw, czyje to, a nie bierz sama!

Jestem już trochę uodporniona, więc się nie przejmuję jego słowami. W końcu ugotowałam coś dla siebie i Kurta.

11 PAŹDZIERNIKA. Zupełnie przez przypadek nasza grupa, wypoczęta i gotowa do wymarszu, staje się pierwszą grupą szczytową. Wyruszamy do obozu III, gdzie mamy rozstawić nowy namiot. Te, które tam są, zostały zasypane śniegiem i nie wszystkie nadają się do użytku.

Podchodziłam prawie cztery i pół godziny. Znów mam trudności z oddychaniem na ostatnich metrach. Niedobrze. Wciąż za wolno idę. Odkopywanie namiotów ze śniegu i rozstawianie nowych zajęło nam całe popołudnie. Później przywlekli się Walterowie, którzy mieli spać w nowym namiocie. W nocy zerwała się wichura i moją „Turnię II” zasypała śniegiem aż po kale-

nicę. Rano Walterowie mieli dosyć. Marianne, mimo środków nasennych, nie spała całą noc. Postanawiają zejść niżej. Schodzi również Robert, przekonany, że to już koniec wyprawy.

W tamtych dniach obóz III wydawał się jeszcze bardziej przywarty do ściany Lhotse. Przebywaliśmy oddzielnie w swoich namiotach, prawie nie kontaktując się ze sobą. Widywaliśmy się tylko w ciągu dnia przy pracy, bo posiłki również jadaliśmy osobno. Choć namioty były od siebie oddalone o kilka metrów, podczas zadyмки stawały się niewidoczne.

12 PAŹDZIERNIKA. Dzień wydarzeń brzemiennych w skutki. Willy, Bernd i ja przebywamy nadal w obozie III. Tego dnia, zgodnie z planem, wszyscy Szerpowie z obozu II mieli podejść do obozu III i iść dalej na Przełęcz Południową, wynosząc brakujące butle tlenowe i wyposażenie obozu IV. Między nimi miała iść trójka – Mingma, Ang Dorje i Ang Cami – która miała wnieść na Przełęcz osobiste wyposażenie wspinaczkowe i ubezpieczać nasz atak szczytowy.

Czekamy więc na nich. Kiedy się pojawili, z rozmowy w kiepskim angielskim zrozumiałam, że nie mają zamiaru iść na Przełęcz, ponieważ pogoda nie rokuje nadziei na wejście. Natomiast Willy, jak się później okazało, był przekonany, że trójka najsilniejszych Szerpów, mimo złej pogody, pójdzie na Przełęcz, gdy tylko do swego prywatnego wyposażenia dopakują trochę jedzenia i paliwa, nie biorąc jednak namiotu. Niestety, nie skonfrontowaliśmy naszych informacji i rozeszliśmy się do namiotów.

Tego dnia w obozie II Hubert Hillmaier otrzymał przez radiotelefon wiadomość: Szerpowie dotarli na Przełęcz, rozstawili namioty i będą nocować. Herrligkoffer z kolei dowiedział się, że Szerpowie z własnej inicjatywy weszli na Przełęcz. Wiadomości te podziałały mobilizująco na pierwsze zespoły szczytowe, czekające w obozie II. Na mnie nie, bo nic o tym wszystkim nie wiedziałam. Radiotelefon jest w namiocie Willy'ego i z bazą rozmawia wyłącznie on. Dopiero później dowiedziałam się, że Szerpowie doszli jednak na Przełęcz. Przez dwie godziny rozstawiali namiot, w którym zamierzali spędzić noc.

W bazie Herrligkoffer otrzymuje radiowy komunikat o przewidywanej poprawie pogody na najbliższe kilka dni. Prędkość wiatru nie przekroczy 80 km na godzinę. Po tym krótkim roz pogodzeniu nadejdzie zima, a z nią

zawieje i burze śnieżne. Wiadomość o poprawie pogody Karl przekazuje do obozu II i decyduje się wysłać z niego najsilniejszy zespół – Hansa i Seppa – do ataku szczytowego. W tym samym czasie Hubert wraz z Pierre’em i Kurtem również zamierzają wyruszyć.

Herrligkoffer, stawiając na pierwszą dwójkę, postanawia odwołać nas z obozu III do II. Ale decyzję tę przekazuje nie nam bezpośrednio, a przez kolegów z obozu II. Karl uważa, że nie wykorzystaliśmy z Willym swojej szansy, pozostając w obozie, podczas gdy Sierpowie zdecydowali się pójść na Przełęcz.

I tak zaczęło się coś dziać poza mną. Na tej wyprawie bardzo często nie wiedziałam, co zostało postanowione lub co się będzie działo, czy to z racji trudności językowych, czy też dlatego, że znalazłam się poza obiegiem informacji. Tak było i teraz. Nie wiedziałam, że Sierpowie osiągnęli Przełęcz, że prognoza na najbliższe dni jest dobra, że decyzją Herrligkoffera zostaliśmy z Willym wycofani, a do góry zostali wysłani Hans i Sepp. Spałam więc spokojnie w namiocie, który łopotał i zrywał się z uwięzi, nim nad ranem nie uspokoił się pod ciężarem zasypującego go śniegu.

13 PAŹDZIERNIKA. Rano wyglądamy Sierpów mających iść z ładunkami na Przełęcz. Przychodzą, tyle że w niespodziewanym towarzystwie – są z nimi Sepp i Hans oraz Pierre, Kurt i Hubert. Sepp przekazuje polecenie Karla:

– Z powodu niepewnej pogody cała wyprawa pracuje teraz na nas, wy natomiast musicie zejść na dół.

Jest to dla mnie i Willy’ego kompletne zaskoczenie. Do tego jeszcze decyzja Karla przekazana przez Seppa – mojego antagonistę – jest dla mnie podwójnie nieprzyjemna.

Willy szybko pakuje swoje rzeczy. Wyraźnie widać, że jest wytrącony z równowagi. W zwykłych warunkach jest spokojny, łagodny, podporządkowujący się wszelkim poleceniom, „dobra dusza” wyprawy. Jeszcze trochę go buntuje: ponieważ na Przełęcz idzie wielu Sierpów, powinien dołączyć do dwójki szturmowej. Willy waha się, w końcu jednak poddaje się i schodzi. Ja rezygnuję od razu. Nie chcę wchodzić na szczyt z ludźmi niechętnymi i wrogimi. Z żalem patrzę na grupę podchodzącą na Przełęcz.

Kurt, Hubert i Sepp idą, używając tlenu. Tego dnia muszą zrobić 1500 metrów podejścia, więc chcą oszczędzić siły na następny dzień. Zazdroszczę

im, a ponieważ nic nie wiem o przewidywanej poprawie pogody, moja za-
zdrość jest połączona z niepokojem i niepewnością o ich los. Co przyniesie
kolejny atak? Jestem przekonana, że podjęli ryzykancką próbę, zdetermino-
wani dotychczasowymi niepowodzeniami. Czuję się trochę oszukana, tym
bardziej że nie mam pewności, czy jest to rzeczywiście decyzja Karla, czy mo-
ich kolegów z obozu II.

Im tymczasem wcale nie jest łatwo. Hubert dzień trzeciej już próby ata-
ku szczytowego tak wspomina:

*Był 13 października i na domiar wszystkiego – piątek. Wprawdzie zdecydowa-
wałem się iść, ale byłem pełen złych przeczuc. Podczas podejścia do obo-
zu IV wciąż oczekiwałem czegoś niedobrego. Na wysokości 7600 metrów
następuje to oczekiwane. Spotykam Szerpów schodzących z Przełęczy. Prze-
marznięci, ledwo mówią. W górze huraganowy północny wiatr porwał jeden
namiot. Wyprawa może się już poddać. Według nich na szczyt nie wejdziemy.
Ta hiobowa wieść mnie nie zdziwiła, podświadomie obawiałem się tego cały
czas. Ale próbuję dogadać się z Szerpami, by poszli z nami na Przełęcz. Darem-
nie, w dodatku pięciu naszych Szerpów w czasie tego spotkania również podej-
muje decyzję powrotu. Zostawiają wszystkie ładunki i żadne próby zatrzymania
ich nie skutkują. Pozostaje z nami tylko jeden Szerpa, zwany Hilton Boy, który
przyjaźni się z Pierréem...*

Alpiniści pakują do swych plecaków pozostawione przez Szerpów ładun-
ki, gdyż nie są pewni, czy na Przełęczy zastaną złożony wcześniej depozyt.
Hubert dobrze pamięta, że podczas drugiego ataku szczytowego nie mogli
go odnaleźć. Dochodzą na Przełęcz. Hubert i Sepp naprawiają podarty na-
miot, a po przyjsciu całej grupy gotują herbatę. Huragan przybiera na sile.
W międzyczasie rozstawili drugi namiot. Zajęło im to dwie godziny. Lokują
się w namiotach: w jednym – Kurt, Pierre, Hubert i Hilton Boy, w drugim –
Hans i Sepp. Namioty łopoczą niczym żagle na wietrze. Tej nocy nikt nie bę-
dzie mógł spać.

Tymczasem jestem z Willym w obozie II. Wciąż nic nie wiemy o spodzie-
wanej poprawie pogody. Mówię do Willy'ego, że nie mam ochoty rezygnować
tak szybko. W obozie panuje nastrój rezygnacji i odwrotu. Złości mnie to tro-
chę. Przecież w górze jest już jeden zespół, nie można więc tak łatwo się pod-
dawać. Rozważam możliwość wejścia na Lhotse – na zboczach i w kularze

nie powinno tak wiać, jak na grani Everestu. Willy zgadza się pójść ze mną. Jeszcze tego dnia próbujemy ustalić, co będzie nam potrzebne. Jeden Szerpa pójdzie z nami do szczytu, drugi weźmie dodatkowe ładunki. Rezygnujemy z zakładania lin poręczowych powyżej obozu III i zabieramy tylko lekki namiot, pożyczony od Walterów, którzy ostatecznie postanowili wycofać się z dalszej akcji i zejść do bazy.

Sigi patrzy na nasze przygotowania niechętnie. Jakby chcąc nas zdemobilizować, oświadcza, że on zdecydował się wycofać. Twierdzi, że chce tylko zaczekać na wiadomość z Przełęczą Południowej, a potem zejdzie do bazy. Nie dziwi mnie to – prawie dwa tygodnie działa bez odpoczynku. Po przedstawieniu mu naszych planów w pierwszej chwili powiedział, że nie ma mowy o Lhotse. Dopiero rozmowa radiotelefoniczna z Karlem zmusiła go do akceptacji naszego projektu.

14 PAŹDZIERNIKA. Pogoda słoneczna i wiatr stał się jakby słabszy. Nie widać białego pióropusza śniegu na grani. Przygotowania do wyjścia na Lhotse są krótkie. Pakujemy niezbędne rzeczy. Mimo że poprzedniego dnia ześliśmy z obozu III, postanawiamy jeszcze dzisiaj wrócić do niego, by następnego dnia nie dzieliła nas zbyt duża różnica wysokości. Nie chcę podchodzić jednego dnia więcej niż 1000 metrów, zwłaszcza że powyżej obozu III trzeba będzie torować szlak w głębokim śniegu. W takich warunkach nawet tlen niewiele pomoże.

Do podnóża kuluaru Lhotse wyruszamy następnego dnia już „na ciężko”. Będziemy nieść po jednej butli tlenowej i osobisty sprzęt. Biwak założymy możliwie blisko kuluaru. Nasi Szerpowie, jak ustaliliśmy, wyruszą z obozu III nazajutrz i dogonią nas między obozem III a biwakiem.

Ponieważ na tym odcinku zamierzamy już iść z tlenem, potrzebne są nam maski. Szukam ich z Willym. Okazuje się jednak, że wszystkie zostały zabrane przez pierwszy zespół, w obozie zaś pozostały tylko trzy maski Szerpów. Na szczęście nie zamierzają oni korzystać z nich przy podejściu na Przełęcz, a po dojsciu na nią wykorzystają te, które tam są. Dostaję więc od *sirdara* dwie maski.

Nagle następuje kolejne spięcie z Sigim. Okazuje się, że wcale nie zamierza schodzić do bazy. Pieniąc się ze złości, wymyśla nam, że zabieramy maski, myśląc tylko o sobie, a tymczasem on z Robertem zamierza następnego dnia

wyjść na Przełęcz w ślad za pierwszą dwójką szczytową! Jestem tym oświadczeniem zdumiona. Podczas ostrej wymiany zdań sytuacja się wyjaśnia. Są maski dla wszystkich. Dyskusja okazała się niepotrzebna, ale raz jeszcze ujawniła całą niechęć, bliską nienawiści, jaką Sigi żywi wobec mnie. Używa takich argumentów, które według niego powinny mnie najbardziej dotknąć.

– To są polskie metody! – krzyczy.

Nie sądziłam, że potrafię czuć pogardę dla drugiego człowieka, a jednak nie uniknęłam tego. Pogarda stanowi dla mnie słaby szaniec, nie czuję się z nim bezpieczna.

Około piętnastej z ulgą opuszczam z Willym obóz. Niespodziewanie dobrze mi się podchodzi. Nareszcie „złapałam” aklimatyzację. Po trzech godzinach jesteśmy w obozie III. Pogoda wspaniała, wiatr przy podejściu ustał całkowicie. Po raz pierwszy widzę południową ścianę Everestu – oświetloną słońcem, pozbawioną śniegu, grającą wszystkimi odcieniami brązu, od ciemnego do jasnozłotego z połyskiem czerwieni.

Przy podchodzeniu do obozu III spotykamy zbiegającego z góry Szerpę. Nie bardzo możemy się z nim dogadać, ale chyba mówi, że Mount Everest został zdobyty! W obozie III jest radiotelefon, jednak nie udaje nam się nawiązać kontaktu z Przełęczą. Zespół, który osiągnął szczyt, nie zszedł jeszcze na Przełęcz Południową. A tego dnia wyprawa rzeczywiście odnosi pierwszy sukces.

Z późniejszych relacji dowiedzieliśmy się, że nikt z tych, którzy spali na Przełęczy poprzedniej nocy, nie spodziewał się, że następnego dnia będą zdobywcami. Nad ranem dociera do ich świadomości, że są pod szczytem Everestu, a wiatr nareszcie się uspokoił. Trzeba wstać, gotować śniadanie. Każdy z nich powtarza: „Tak, tak, trzeba wstać!”. Ale nikt się nie rusza. Dopiero po pewnym czasie mobilizują się, jednak do wyjścia przygotowani są dopiero około dziewiętej trzydzieści. Tylko Sepp i Hans są gotowi wcześniej. Sepp ładuje do plecaka trzy butle tlenowe, Hans nie bierze żadnej. Jest w tak dobrej kondycji, że próbuje wchodzić na szczyt bez tlenu. Hubert zamierza iść z dwiema butlami, podobnie Pierre i Kurt, natomiast Hilton Boy rusza z jedną butlą, którą w połowie drogi do szczytu przekaze Pierre’owi.

Pół godziny później Pierre zmaga się ze swoją maską. Hubert sprawdza zawartość tlenu w jego butli i okazuje się, że jest prawie pusta. Wówczas każe Hiltonowi zostawić niesioną przez niego butlę i zejść z powrotem na Prze-

łącz po dwie nowe. Przez następne pół godziny Hubert znacznie oddala się od Pierre'a i Kurta, widząc jednocześnie, że dystans między nim a Seppem i Hansem również się zwiększa. Musi więc dokonać wyboru. Układem partnerskim jest związany z Pierre'em i Kurtem, ponieważ cały czas był w ich zespole, ale wie już, że z nimi nie ma szans na osiągnięcie szczytu. Idą zbyt wolno. Pozostawia więc ich i goni dwójkę znajdującą się wyżej. Pierre i Kurt po dojściu do wysokości 8400 metrów rezygnują z dalszego podchodzenia i wracają na Przełęcz.

Trójka Niemców pnie się do szczytu. Hubert, który niósł dwie butle, wpadł na znakomity pomysł: tę, którą wykorzystywał dotychczas, zostawia na wysokości 8600 metrów. Butla ta przyda mu się przy zejściu. Na pozostałe do szczytu 250 metrów zabiera tylko jedną, ale za to pełną. Dzięki temu z ważącego około 18 kilogramów plecaka ubywa 7. Pomysł ten później i my wykorzystamy.

Z mniejszym obciążeniem Hubert szybko dochodzi do Hansa, a potem do Seppa, który szedł wciąż pierwszy, torując ślad.

Z Przełęczy Sepp zabrał trzy butle, żeby oddychać „pełną piersią”, ale trzy butle ważą razem 21 kilogramów. Można się zastanawiać, czy lepiej iść z dwiema butlami o mniejszym przepływie tlenu i mniejszym ciężarze, czy z trzema butlami o przepływie 4 litrów na minutę, ale ważącymi tak wiele.

Wejście na Wierchołek Południowy jest „tylko” trudne – wymaga już wspinaczki, natomiast odcinek z Wierchołka Południowego do głównego szczytu Mount Everestu był uważany przez wszystkich za bardzo niebezpieczny. Każdy bał się tego miejsca.

Sepp podszedł pod kolejny uskok, zwany Hillary Step, próbując go sforsować. Bez powodzenia. Postanowił zaczekać na Huberta, który miał w plecaku poręczówkę.

O godzinie 16.45 na wierzchołku Mount Everestu stanął Sepp, 15 minut później Hubert, a 30 minut po Seppie idący bez tlenu Hans. Słońce zniżało się ku zachodowi, nie mogli więc długo pozostawać na szczycie.

Zejście tej trójki miało momenty dramatyczne. Pierwszy schodził Hubert, któremu starczyło tlenu na zejście. Po nim szedł Sepp, a na końcu Hans bez tlenu. Sepp nie mógł znaleźć butli pozostawionej przy podchodzeniu. Zmęczony i bez tlenu schodził niepewnie. I kiedy Hans, straciwszy równowagę, wpadł

na niego, upadł również i obaj zaczęli staczać się po zboczach. Ledwo udało im się wyhamować upadek. Sepp całkowicie załamał się 50 metrów przed namiotami na Przełęcz. Hubert doszedł do obozu i ugotował herbatę, potem zaniósł ją Seppowi, namawiając go na ostatni wysiłek – dojście do namiotów. Po kilkunastu minutach cała trójka znalazła się na Przełęcz. Była godzina 22.

Następnego dnia, 15 października, szczęśliwi schodzą wprost do obozu II. Po drodze miną się z nami.

Zanim jednak do tego spotkania doszło, tego samego dnia przeżyliśmy z Willym mocne chwile w obozie III. O godzinie siódmej rano Karl, rozmawiając z Willym, nie wiedząc czemu odniósł wrażenie, że jesteśmy pasywni i kiepsko przygotowaliśmy sobie wejście na Lhotse. Willy tłumaczył mu, że czekamy na Szerpów, czego Karl nie mógł zrozumieć. Nie docierało też do niego, że nie jesteśmy pewni Sigiego, czy czegoś nie zmieni, oraz Szerpów, że przyjdą. Nie możemy pójść bez namiotu i zaplecza, które mieli donieść. Szerpowie nie palą się zbytnio do Lhotse, bowiem tak jak dla nas, alpinistów, tak i dla nich Everest jest bardziej atrakcyjny. Mogą więc nie dojść do obozu III, tylko pójść z Sigim na Przełęcz. O ósmej Willy łączy się z Przełęczą Południową i dowiaduje się, że pierwszy zespół był na szczycie! Hubert przez radiotelefon zachęca pozostałych uczestników wyprawy do wchodzenia na Everest. Ładny gest – zdobywcy szczytu nie chcą go zatrzymać wyłącznie dla siebie.

Jesteśmy podekscytowani, zmobilizowani do działania. Bez żalu rezygnujemy z Lhotse. Jesteśmy gotowi do pójścia na Everest, zaczekamy tylko na Szerpów i schodzących kolegów. Wtedy dopiero uzgodnimy nasze dalsze poczynania.

Około dziewiątej pojawiają się w obozie III Szerpowie, a z nimi Sigi i Robert z obozu II. Idą na Przełęcz Południową, a następnego dnia też chcą wchodzić na szczyt. Póki co, wszyscy czekamy przed namiotem na zdobywców. Już ich widać na zboczach Lhotse, a po niedługim czasie są na trawersie, na poręczówkach rozpiętych między Żółtą Barierą a naszym obozem. Dwie postacie poruszają się sprawnie, trzecia zaś wyraźnie pozostaje w tyle, przysiadając co kilkanaście metrów. To osłabiony Sepp.

Nareszcie dochodzą! Gratulujemy im serdecznie. To nie tylko ich własny sukces, ale i wyprawy. Zielone światło dla nas. Wiemy już, że w gorze warunki są dobre. Jak twierdzi Hubert, do szczytu możemy iść bez liny. Jeszcze

w nim trwa euforia z poprzedniego dnia, pragnie, by na górze jeszcze coś się działo. Powtarza kilkakrotnie, że dopóki jest pogoda, jak najwięcej uczestników wyprawy powinno iść na szczyt. Podaję radiotelefon, by Hubert i Hans powiedzieli kilka słów do bazy. Herrligkoffer od nas dowiedział się o sukcesie, jako że nie było łączności bezpośredniej między bazą a Przełęczą Południową. Karl cieszy się ogromnie.

Korzystamy z Willym z okazji, by przedstawić Karlowi nasz plan, a raczej zmianę planu. Wyraża zgodę pod warunkiem, że wystarczy butli. O to nie obawiamy się, butli jest dużo w obozie III, w drodze między obozem i Przełęczą, jak też na samej Przełęczy.

Koło południa ruszamy pod Przełęcz. Pogoda niewiarygodna – cały czas słońce i prawie bezwietrznie. Ubrani jesteśmy bardzo lekko, w pojedynczych swetrach i wełnianych podkoszulkach.

W plecakach butle tlenowe. Koniecznie chcę wypróbować podchodzenie z tlenem, nigdy bowiem nie korzystałam z maski, reduktora i butli. Boję się awarii sprzętu, która może zdarzyć się w tym najważniejszym dniu. Willy zamierza zabrać jedną z butli, które są rozsiane po drodze poniżej Przełęczy. Sprawdzam przepływ tlenu – mieści się w granicach 1 do 4,5 litra na minutę. Z tlenem idę z taką szybkością i wysiłkiem, jakbym poruszała się na wysokości 6000 metrów.

Początkowo ani Willy, ani ja nie zamierzaliśmy podchodzić na Przełęcz z tlenem. Ale przecież tlenu jest bardzo dużo, pomyślałam więc, że należy oszczędzać siły na dzień następny. Bywałam już bez tlenu na wysokości bliskiej 8000 metrów, ale jutro miałam iść jeszcze wyżej.

Cała droga na Przełęcz jest zaporęczowana. Prowadzi nachylonymi pod kątem 45–50° śnieżnymi stokami, w kilku miejscach poprzecinanych pasmem skał. Pierwsza przeszkoda to Żółta Bariera – pas skał przecinających poziomo flankę Lhotse. Poręczówki wiodą do Żółtej Bariery skośnie w lewo, przechodzą przez nią i wprowadzają na Żebro Genewczyków. Dopiero na szczycie Żebra liny poręczowe wyprowadzają nas skośnym, stromym trawersem w lewo, na równię Przełęczy Południowej. Poręczówek jest ponad 800 metrów.

Idziemy, wykorzystując jumary, zwłaszcza na stromych odcinkach. Z uznaniem myślę o tych, którzy pierwsi przeprowadzili drogę przez Żółtą Barierę. Jest nieprzyjemna, mało na niej śniegu, dużo skały i lodu. Powyżej Żółtej Ba-

riery idziemy razem równym, stosunkowo wolnym tempem. Idę pierwsza, rozmyślając trochę chaotycznie. Mimo radości spotkanie z trójką zdobywców zostało jakiś osad. Teraz przypominam sobie dokładnie słowa Seppa:

– Nie masz co marzyć o wejściu na Everest! Nie dasz rady. Nawet nie powinnaś próbować, bo będziesz zagrożeniem dla innych.

Przetrawiam jego słowa podczas podejścia. A skurczybyk! – myślę. Tego typu opinii nigdy mnie nie załamywały. W tej chwili mam dobrą kondycję, nareszcie zdobyłam aklimatyzację, na którą tak długo czekałam. Mimo to z przykrością uświadamiam sobie, że słowa Huberta, zachęcające do wejścia, mnie prawdopodobnie nie dotyczyły. W grupie jego przyjaciół i kolegów byłam kimś obcym.

Dobrze, że wysiłek podejścia eliminuje jakiegokolwiek przykre doznania związane z tym odkryciem.

Stają się maszyną do podchodzenia – co sekunda krok wyżej. Nie potrzebuję już żadnych podniet mobilizujących – ani przekory, ani zawziętości. Muszę wejść na Everest! To, co teraz robię, robiłam już dziesiątki, a może setki razy. Przy znużonym podchodzeniu zapomina się niekiedy, na jaką górę się wchodzi. Wszędzie śnieg, lód i skały są takie same.

Co jakiś czas odpoczywam. Przysiadamy wtedy na stopniach wyrąbanych w śniegu na stromym stoku i spoglądamy na pozostający pod nami szczyt Nuptse oraz na Cho Oyu wylaniający się spoza Pumori. Potem znów ruszamy. Do znudzenia powtarzamy te same ruchy, przesuwamy jumar, stawiamy stopę, obciążamy ją, robimy krok wyżej, przesuwamy jumar na linie, krok wyżej... I tak bez zmian, jak automaty.

Mijamy francuski obóz IV, założony na zboczach Lhotse na wysokości 7500 metrów, powyżej Żółtej Bariery. Obóz ten nigdy nie był wykorzystywany przez Francuzów, w końcu zasypała go lawina.

Na Przełęcz Południową wychodzimy o siedemnastej, po pięciu godzinach podejścia. Już na trawersie czujemy silne podmuchy wiatru, wznagające się na równi Przełęczy. Niemal uginamy się pod jego naporem. Jesteśmy zaniepokojeni – przecież Hubert zapewniał, że na zboczach Everestu jest zupełnie cicho! Dochodząc do obozu, widzimy trzepocące trzy namioty. Kręcą się przy nich ludzie. To nasi Szerpowie oraz Sigi i Robert. Są też schodzący z Everestu Francuzi i Kurt.

15 PAŹDZIERNIKA był dniem francuskim. Kurt Diemberger i Pierre Mazeaud, którzy poprzedniego dnia wycofali się, ponowili atak. Wraz z nimi poszli Jean Afanassieff i Nicolas Jaeger – młodzi, fantastyczni wspinacze, należący do ścisłej czołówki alpinizmu francuskiego. Doszli na Przełęcz tego dnia, w którym z Willym podchodziłam do obozu III.

Kurt, doświadczony alpinista, filmuje cały przebieg wspinaczki. Filmuje również na szczycie Everestu. Zespół francuski ma radiotelefon, za jego pośrednictwem Pierre Mazeaud przekazuje wprost do bazy wiadomość o zdobyciu przez nich szczytu. Jego wypowiedź od razu jest transmitowana przez nadajnik w bazie i satelitę do radia francuskiego. Złośliwi twierdzili później, że Pierre podczas wyprawy współpracował nie z Francuzami, a z Kurtem i Huberem tylko dlatego, by być pierwszym Francuzem na szczycie Everestu...

Kiedy dochodzimy z Willym na Przełęcz, właśnie zbliżają się schodzący ze szczytu Jean i Nicolas; dwójka „dziadków”, czyli Pierre i Kurt, dochodzi nieco później. Cieszę się z sukcesu Kurta – Everest jest jego czwartym ośmiotysięcznikiem.

Nie sposób być długo na zewnątrz, wiatr ma prędkość huraganu, ale Kurt pociesza nas, że na zboczach Everestu było spokojnie.

Zabieramy się z Willym do rozstawiania namiotu. Mały namiocik Walterów jest rewelacyjny, ale wymaga włożenia masztów i ustawienia go przed przymocowaniem do lodu. Zanim więc to nastąpi, musimy mocno trzymać wyrywający się na wietrze namiot. Rozglądam się za śpiworem. Nie ma wolnego! Stoję trochę oglupiała, żałując teraz, że nie wzięłam go z obozu III. Pytam we wszystkich namiotach, czy nie mają zbywającego śpiwora. Niestety, nie mają. Perspektywa spania bez śpiwora w noc poprzedzającą atak szczytowy jest przerażająca. Temperatura na zewnątrz poniżej minus 30° C. Z opresji ratuje mnie wspaniały gest Kurta. Oddaje mi swój śpiwór, mówiąc:

– Ja już byłem na szczycie, ciębie czeka to jutro. Musisz być wyspana i wypoczęta. Poradzę sobie jakoś...

Zaprosiliśmy go na noc do naszego namiociku. Kurt naciągnął na siebie puchowe spodnie i kurtkę. Wzięliśmy go z Willym między siebie, osłaniając od zimna i ogrzewając śpiworami. Rano twierdził, że spędził nienajgorszą noc.

Przed snem jeszcze gotujemy w namiocie Szerpów. Sprawdzam butle tlenowe i ich wyposażenie, zbieram wszystkie drobiazgi, które jutro mogą się okazać potrzebne.

Do śpiworów wchodzimy, nie rozbierając się. Jestem w kilku warstwach ciepłej bielizny, wełnianych i puchowych spodniach, kilku swetrach i kurtce puchowej. Zdejmuję tylko zewnętrzne buty i wkładam je do śpiwora. Gdyby na noc zostały na zewnątrz – zamarłyby i rano byłyby nie do włożenia. Dopasowujemy maski do spania. Są to plastikowe przykrywki obejmujące usta i nos. Podłączam się do reduktora bardzo oszczędnie, nastawiając przepływ tlenu na pół litra na minutę. Chcę, by ta sama butla wystarczyła mi na noc po zejściu ze szczytu. Tlen sprawia, że nawet przy furkoczącej ścianie namiotu, wyciągnięta jak struna, mogę jednak trochę zasnąć. Podwójne ściany namiotu przy huraganowym wietrze uderzają o siebie z ogłuszającym łoskotem, przy tym z wewnętrznej ściany sypie się szron powstały z zamrożonej pary oddechów. Od czasu do czasu budzę się pełna obawy, by potrzeba fizjologiczna nie zmusiła mnie do wyjścia z namiotu. Prawie się modłę, by to się nie przydarzyło. Teraz to brzmi śmiesznie, ale tam, w górze, nie było wcale śmieszne.

Kiedy nie śpię – rozmyślam. Chwilami wracają do mnie słowa Kurta, który przed zaśnięciem opowiadał o swoim wejściu. Poradził nam, by butli tlenowych na zamianę nie zostawiać w miejscu przeznaczonym na skład rzeczy na wysokości 8400 metrów, tylko 100 metrów wyżej – u podnóża kopuły szczytowej Wierchołka Południowego. Był zdziwiony pomysłem pójścia bez liny. On na pewnym odcinku grani, między Wierchołkiem Południowym a Głównym, po prostu bał się.

Nastrój nocy przed wejściem na szczyt jest uroczysty. Jutro nastąpi dzień wielkiej próby, chyba największej dla alpinisty. Już nie mam obaw i wątpliwości, czy starczy mi sił, czy podołam. Nie myślę nawet ani nie zastanawiam się nad tym. Z góry bowiem założyłam, że dam radę i mam podstawy, by tak sądzić. Od podejścia z obozu II bardzo dobrze się czułam. Mobilizuję siły fizyczne i psychiczne, aby uodpornić się na niespodziewane. W środku niebezpieczeństwa czuję się bezpiecznie. Czy to tylko moja umiejętność, czy ktoś mi w tym pomaga? Czuję się chroniona – czyżby to były myśli i modlitwy Mamy i bliskich? Jestem zdeterminowana i daję mi to poczucie wolności. Uwol-

niona od wszystkiego, co nie jest Górą i mną, wolna od strachu i obaw – bo nie mam już wyboru. Czeka ją mnie akcja likwiduje strach. Lubię to uczucie. Myślę, że jest to jeden z powodów, dla których się wspinam.

O czwartej zaczynamy przygotowania do wyjścia. Wiatr na Przełęczy nie ucichł. Dopóki nie przestanie wiać, nie zamierzamy wychodzić z namiotu. Dużo czasu zajmuje sznurowanie butów i pakowanie plecaków. Trzeba zdjąć maskę tlenową i wszystkie czynności wykonywać bez tlenu, co na wysokości 8000 metrów nie jest łatwe. Ruchy mamy spowolnione, szybko się męczymy.

Pierwszy wychodzi Willy, idzie do namiotu Szerpów pomóc im w gotowaniu śniadania. Około siódmej mamy menażkę kawy i płatki owsiane. Pół godziny później na Przełęczy pojawia się słońce. Przed nami południowo-wschodnia ściana Everestu, ostatnie 850 metrów do szczytu. Dotychczas przeszło tędy prawie 80 alpinistów, tych co dotarli do szczytu. To dodaje mi otuchy.

Nastawiam przepływ tlenu na 2 litry na minutę. Podchodzimy początkowo niezbyt stromym, oświetlonym zboczem. Idzie nas ośmioro – Sigi, Robert, Willy i ja oraz czterech Szerpów. Najsilniejsi z nich, Mingma i Ang Dorje, idą bez tlenu. Niosą po jednej butli dla nas, które potem zostawią na wysokości 8400 metrów. Każde z nas ma w plecaku po jednej butli, rzeczy osobiste, aparaty fotograficzne, a ja dodatkowo jeszcze kamerę filmową i kasety.

Odległości pomiędzy nami powoli zwiększają się. Specjalnie idę wolno, gdyż nie chcę narzucać sobie zbyt ostrego tempa na samym początku. W decydującej chwili, na ostatnich metrach, muszę mieć dużą rezerwę sił. Kolegów doganiam na wysokości 8400 metrów, gdzie zatrzymują się na krótki odpoczynek. Zgodnie z umową do tego miejsca Szerpowie mieli wynieść butle, ale za radą Kurta postanawiamy je przenieść 100 metrów wyżej. Sigi decyduje, że każdy z nas, a nie Szerpowie, zabierze dodatkowo po jednej butli i przeniesie je wyżej. Zaprotestowałam. Przecież mam filmować wejście i niosę kamerę! zaproponowałam więc jednemu z Szerpów, aby moją butlę wniósł za dodatkową opłatą. Wówczas Sigi napadł na mnie z taką złością, jakby wyzwoliła się z niego długo tłumiona nienawiść:

– Chcesz wejść mniejszym kosztem niż my! – krzyczał.

– Ale przecież mam was filmować, muszę mieć kamerę! – już i ja krzyczałam. Kolana uginały się pode mną, ręce drżały, w uszach szumiało...

Niesprawiedliwość tego ataku spowodowała, że najpierw poczułam bezradne osłupienie, potem przyszła obojętność i zniechęcenie. Czy to ma sens – nienawiść na najwyższym szczycie Ziemi? Czy warto żyć, walczyć, wchodzić na szczyty, jeśli nie można uwolnić się od niej?

Willy'ego już nie było, podchodził na Wierchołek Południowy z dwiema butlami, Robert manipulował przy swojej i nie zwracał na nas uwagi. Powoli ogarniała mnie złość. I mimo że miałam najszczerzą ochotę wyrzucić z plecaka kamerę, zawzięłam się:

Dobrze, s..., dam sobie radę i z kamerą, i z butlą! – pomyślałam.

Zaczęłam sprawdzać ciśnienie w leżących wokół butlach. Nie mogłam jednak znaleźć swojej, pełnej. Mierzyłam po kolei – były puste albo zawierały zaledwie kilkadziesiąt atmosfer zamiast 200. Poczułam nagle paniczny strach przed porażką z tak głupiego powodu jak brak butli pełnej tlenu. Przecież przygotowałam ją sobie na Przełęczy i własnoręcznie sprawdziłam! Czyżby Sigi?!... Robert i Szerpowie podchodzili już na Wierchołek Południowy.

– Gdzie moja butla?! – krzyknęłam za oddalającymi się.

Z trudem zrozumiałam w odpowiedzi, że Mingma z własnej inicjatywy zabrał ją do góry. Ruszyłam więc i ja. Dogoniłam zespół w chwili, kiedy po 100 metrach zmieniali butle. Od tego miejsca zaczynało się strome podejście. Zostawiam butlę, w której jest już zaledwie 80 atmosfer, i zakładam nową. Wszyscy jesteśmy gotowi do dalszego podchodzenia.

Dotychczas szliśmy własnym tempem, w dość znacznych od siebie odległościach. Teraz zaczyna się wspinanie. Idziemy blisko siebie, zmieniając się w prowadzeniu. Z trudem odnajdujemy ślady Francuzów i Kurta – są zasypane śniegiem. Raki zgrzytają o skałę. Żeby zrobić krok, trzeba przytrzymać się rękoma. Teren jest bardzo kruchy, nie ma więc pewności, czy raki utrzymają nas na tej powierzchni. Poruszamy się jednak dość szybko. Odkręcam trochę reduktory – nastawiam dopływ tlenu na 4 litry na minutę. Dzięki temu znacznie mniej dotkliwie odczuwam wysokość i trudności wspinaczki.

Osiągamy Wierchołek Południowy. Kolejny odpoczynek. Odłączamy tlen, oszczędzając go na podchodzenie. Idę ubrana bardzo lekko – puchowe spodnie i kurtkę niosę w plecaku. Na wschodniej ścianie, rozgrzanej słońcem i osłonię-

tej od wiatru, było mi wręcz gorąco. Ale na grani jest minus 25° C i wiatr przewiewa na wskroś. Nie chcę jednak zatrzymywać się, tracić czasu i energii na wypakowanie z plecaka ciepłych rzeczy i ubieranie się.

Przed nami bardzo trudna grań; to właśnie ten odcinek, o którym opowiadał Kurt. Ostro i stromo, przy silnym wietrze idzie się jak po wąskiej równoważni. Wspinamy się bez liny. Jeżeli ktoś z nas popełni błąd, to na własny rachunek. Nieostrożny krok to nieuchronny upadek z kilku tysięcy metrów! Staram się uruchomić całą zdolność koncentracji, kolejne kroki stawiam niezwykle ostrożnie. Byle noga nie zapadła się w śnieg, bo wtedy stracę równowagę!

Po kilkunastu metrach ostra grań skończyła się. Można było chwilę odetchnąć i przyrzeć się kolejnemu trudnemu uskokowi. To Hillary Step – kilkunastometrowy odcinek śnieżno-skalny, wymagający wspinaczki, ale ubezpieczony liną poręczową założoną przez Huberta. Bardzo efektowne miejsce do filmowania. Wyjmuję więc sprzęt i po kolei filmuję kolegów pokonujących eksponowany odcinek. Ostatni za uskokiem zniknął Willy. Pozostałam sama i choć obecność drugiego człowieka niewiele mogła tu pomóc, krzyknęłam za Willym:

– Poczekaj, niech przejdę uskok!

Kilkanaście metrów ostrego wspinania. Lina poręczowa ułatwia zachowanie równowagi, ale nie obciążam jej mocno, gdyż nie mam pewności, czy jest dobrze umocowana do białego gdzieś wyżej czekana. Uskok pozostał za mną. Odetchnęłam. Podziękowałam Willy'emu, że zczekał.

Ruszyliśmy znów swoim tempem – ja pierwsza, Willy za mną. Grań nie była już tak stroma. Idziemy po sprasowanym wiatrem śnieżnym zboczu, nachyłym pod kątem około 40° w stronę Nepalu. Kiedy szczyt? Kilkakrotnie wydaje się, że za chwilę na nim staniemy. Ale to tylko kolejne spiętrzenie grani zasłaniające dalszą drogę. Wciąż idziemy stroną nepalską. Po przeciwległej, tybetańskiej, są wywieszzone śnieżne nawisy. Wyraźnie czuję, że to już ostatnie metry. Chyba euforia powoduje, że jak na tę wysokość idę szybko. Willy zostaje za mną. Z pewną obojętnością, jakby nie mnie to dotyczyło, zauważam, że śnieg sprasowany na zboczu może być niebezpieczny. Niekiedy po postawieniu stopy wysuwa się spod niej niewielka, śnieżna deska.

Kolejne wzniesienie grani. Duszę się! Niedobrze z moją maską albo z butlą. Przypominam sobie Kurta, który mówił:

– Wiatr wiejący stale od Nepalu mroził mi wlot powietrza do maski znajdujący się właśnie z lewej strony. Miałem spore z tym kłopoty.

Domyślałem się więc, że mnie przytrafiło się to samo – przecież tlenu mam jeszcze sporo! Jedyne, co mogę zrobić, to zdjąć maskę i iść bez tlenu. Szczyt blisko, nie dalej niż na odległość 50 metrów. Tylko 50 metrów! Wydaje mi się, że idę tak samo, jak poprzednio z tlenem. Nie mam już wątpliwości, że dojdę mimo braku tlenu.

Po 6 godzinach i 15 minutach podchodzenia z Przełęczy Południowej, po pokonaniu 850 metrów różnicy wysokości staję na wierzchołku Mount Everestu! JEST GODZINA 13.45, NIEDZIELA, 16 PAŹDZIERNIKA 1978 ROKU. Nasz czas wejścia jest drugim czasem w dotychczasowej historii zdobywania tego szczytu.

Koledzy już zrobili sobie nawzajem zdjęcia z flagami swoich krajów. Żartujemy, że jesteśmy wyżej niż inni zdobywcy Everestu, bo nie widzimy przysypanego wielometrową warstwą śniegu chińskiego triangułu. Zdejmuję plecak, zapominając, że mam w nim butlę połączoną przewodem z maską. Maską spada – i tak nie na wiele przydatna, gdyż jest oblodzona. Wtedy mówię kolegom, że szłam bez tlenu, bo mam zalodzoną maskę. I tu niespodziewany gest Sigiego – wziął maskę i własnym oddechem odmroził ją. Zakładam maskę i zaczynam grzebać w plecaku, chcąc wyciągnąć ciepłe rzeczy, ale jestem tak zmarznięta, że nie mogę swobodnie poruszać się. Zdejmuję rękawice, by szybciej dobrać się do plecaka. Udało się. Z ulgą naciągam puchowe spodnie i kurtkę.

I kiedy zrobiło mi się cieplej, nareszcie uprzytamniam sobie...

Jestem na najwyższym szczycie Ziemi, a obok stoją moi partnerzy. Dopiero teraz przychodzi radość. Najpierw gratuluję Mingmie i Ang Dorje – obydwaj weszli na szczyt bez tlenu. Potem całujemy się z Willym, a że zapomnieliśmy zdjąć maski, więc tylko śmiesznie potrącamy się nimi, usiłując objąć się w naszych puchach. Nie poznaję Sigiego, który nagle mówi: – Wprawdzie klóciliśmy się, ale tutaj nie ma to znaczenia...

Pewnie odczuwa tę samą radość zwycięstwa, co i my. Robert chce się ze mną sfotografować. Polka i Szwajcar w zespole niemieckim. Wyciągam z ple-

caka biało-czerwony proporczyk, ale wiatr porywa go na stronę chińską. Na szczęście mam jeszcze proporczyki Polskiego Związku Alpinizmu i Polskich Linii Lotniczych LOT.

Każdy z nas coś pozostawia na szczycie – tak robili wszyscy zdobywcy. Góra jest cierpliwa i przyjmuje wszystko. Tenzing na szczycie zagrzebał herbatniki i suszone owoce jako ofiarę dla swoich bogów, Hillary – krzyżyk, Hans Engl zostawił tu obrazek namalowany przez swoją córeczkę, teraz Sigi – fotografię żony. Ja zostawiam kamyczek od Ireny – symbol przyjaźni. Długą przebył drogę – od Skalek, w których stawiałam pierwsze kroki, aż do najwyższego szczytu Ziemi.

Moja radość nie jest butna, nie podnoszę rąk do góry gestem brania świata w posiadanie. Jest skierowana do wewnątrz, pełna pokory i wdzięczności. Górę traktowałam jak przeciwnika, bez ciepłych uczuć dla jej piękna i potęgi. Pozwoliła mi zwyciężyć i nie mogę chęlnie się zwycięstwem. To tak, jakbym chęlnie się jej łaskawością. Myślę o moich bliskich, o innych ludziach, którzy z tej odległości są mi również bliscy. Podobnie muszą chyba myśleć kosmonauci – Ziemia wydaje się ich rodzinnym domem, a ludzie jedną rodziną. Codziennosc pozostawiona na dole z tej perspektywy wydaje mi się bardzo droga.

Jak najdokładniej staram się zapamiętać to, co widzę ze szczytu. Strona tybetańska jest mniej ośnieżona i dlatego wydaje się bardziej przystępna, swojska. Strona południowa, nepalska, to morze ośnieżonych gór, dzikich i groźnych. Na pierwszym planie postrzępiona grań Nuptse. Do dziś nie opuszcza mnie wspomnienie świetlistości otaczającego krajobrazu. Nie znam jego prawdziwych kolorów, ponieważ na tych wysokościach nie można zdjąć ciemnych okularów, nawet na chwilę, do pamiątkowej fotografii. Zdejmuję tylko maskę i uśmiecham się do aparatu, zapominając, że twarz mam całkowicie zasłoniętą wełnianą czapką kominiarką. Na fotografii jestem nierozpoznawalna jak prawie każdy z 80 zdobywców Everestu...

Na szczycie przebywamy około pół godziny. Czas schodzić. Znów balansuję na ostrej grani. Willy podaje mi kijek narciarski:

– Weź, będzie ci łatwiej niż z czekanem.

Przyjacielski, troskliwy gest. Tlenu starczyło mi akurat do miejsca, gdzie zostawiliśmy butle. Zakładam nową i rozrzutnie nastawiam przepływ na 4 litry na minutę. Mogę szaleć, wystarczy mi tlenu do Przełęczy Południowej.

Podczas schodzenia nie przytrafiło mi się nic szczególnego. Może dzięki temu, że ani na chwilę nie przestałam uważać. Prawie każdy ze zdobywców na naszej wyprawie miał jakiś wypadek podczas schodzenia. Na przykład Sigi traci równowagę i osuwa się parę metrów, ale udaje mu się wbić czekan i wyhamować.

Po 200 metrach zejście nie jest już trudne. Nawet gdybym obsunęła się na zboczu, to spadnę na śnieg Przełęczy. Im niżej, tym szczęśliwiej, ale i zwyczajniej.

Tuż nad Przełęczą schodziliśmy z Willym zalaną słońcem płaszczyzną śnieżną. Szliśmy zupełnie niezależnie, wybierając własne warianty zejścia. W pobliżu obozu Willy zaczął na mnie. Przysiadłam na śniegu obok niego. Za chwilę wejdziemy w piekło Przełęczy, w wiatr targający namiotami. Jeszcze raz przeżywamy szczyt Everestu, staramy się zapamiętać z mijającego dnia jak najwięcej...

W namiotach są Bernd i Georg, którzy wieczorem podeszli do obozu IV. Jutro będą podchodzić na szczyt. Jestem pełna podziwu dla Georga. Złamany chorobą żołądka właściwie zrezygnował już z udziału w wejściu szczytowym i zszedł do bazy. Na wiadomość, że są dobre warunki, zrywa się i starcza mu sił na podejście w ciągu jednego dnia z bazy do obozu II, a następnego dnia wprost na Przełęcz Południową, by nazajutrz, 17 października, razem z Berndem osiągnąć szczyt. Jest w tak dobrej kondycji, że próbuje podchodzić bez tlenu, ale ostatecznie korzysta z niego.

Kiedy Bernd i Georg zmagają się z górą, Kurt, Willy i ja schodzimy w dół. Sigi i Robert zeszli wcześniej. Na Przełęczy pozostali Mingma i Ang Dorje – będą czekać na powrót Bernda i Georga. Zwijamy namiot i pakujemy plecaki. Wiatr wciąż silny. Mamy nadzieję, że uda nam się szybko schować za załomem Przełęczy. Nic z tego, wiatr i tam nas dopada. Idziemy targani nim aż do Żebra Genewczyków. I znów nadzieja, że za nim będzie spokojniej. Trawers w stronę Żebra pokonuję z dużym wysiłkiem. Lodowaty wiatr mrozi ręce i nogi. Po raz pierwszy na tej wyprawie nie mogę sobie z nimi poradzić, czuję, jak powoli mi drętwieją kończyny. Po energicznych ruchach palców rąk i nóg wraz z bólem powraca czucie. Potem znów nic nie czuję. Nie ma co siadać, masować, rozcierać, trzeba jak najszybciej uciekać od wiatru i mrozu. Idę bardzo szybko, przytrzymując się liny poręczowej. Wiatr wywiał śnieg, idziemy po bardzo stromym

zboczu, z trudem utrzymując równowagę. Wreszcie dochodzę do Żebra Genewczyków i schodzę na ścianę Lhotse. Tam już widzę Willy'ego. Przysiadam i czekam na Kurta, idącego bardzo wolno. Cztery noce spędzone na Przełęczy dają o sobie znać. Idzie w ciężkim ubraniu, obładowany sprzętem filmowym. Później opowiadał, że na wyprawie stracił 15 kilogramów.

W ścianie Lhotse jest już spokojniej. Im niżej, tym mniej wiatru. Przed Żółtą Barierą wyjmuję kamerę i proszę Willy'go, by pozował do zdjęć. Nareszcie zdjęcia z prawdziwej, efektownej wspinaczki, a nie tylko obraz mozolnego, monotonnego podchodzenia i schodzenia stokiem śnieżnym!

W obozie III nasz odpoczynek przedłuża się do dwóch godzin. Postanawiamy coś ugotować, nasze osłabienie jest spowodowane również głodem. Po posiłku pakujemy plecaki, zabierając najważniejsze rzeczy z namiotów, resztę zniosą Szerpowie.

Przylapuję się na tym, że tak jak Kurt rozglądam się bardzo uważnie dookoła, chcąc zachować w pamięci jak najwięcej. Zbocze Lhotse, grań Everestu, dziś powiewającą śnieżnymi chorągiewkami. Bernd i Georg mają trudniejsze warunki niż my. W dole widzę czarne punkciki namiotów obozu II, przełamanie lodowca Khumbu; samego uskoku nie widać. Daleko, bardzo daleko, gdzie wydaje mi się, że widzę pomarańczowe punkciki, muszą stać namioty bazy. Nad nimi wspaniały masyw Cho Oyu, wznoszący się nad Pumori. Dolatują do nas ptaki, podobne do pamińskich czarnych wronczyków. Żywią się odpadkami pozostawianymi przez wyprawy. W dniu, kiedy dochodziłam do Przełęczy, widziałam dwa z nich przelatujące nad Przełęczą – z Tybetu do Nepalu. Wydawało mi się, że jeden był czarny, drugi biały. Potraktowałam je wtedy jako dobrą wróżbę na dzień następnym, dzień ataku szczytowego.

18 PAŹDZIERNIKA. Dzień zejścia do bazy. Plecaki uzupełniane ładunkami z kolejnych obozów są coraz cięższe. Mój waży chyba ponad 25 kilogramów. Kurt mówi, że obawia się uskoku lodowca Khumbu. Rzeczywiście, uskok jest nie do poznania. Z trudnością odnajduję drogę. Gdyby nie chorągiewki i liny, nie potrafiłabym znaleźć przejścia. Lodowiec natomiast, pozbawiony świeżego śniegu, ma znacznie więcej niewidocznych szczelin niż poprzednio.

Przed dojściem do obozu I widzę kogoś idącego bardzo powoli i co chwila przysiadającego. Wydaje się potwornie obładowany. To Jeff, czyli Jean

François Mazeaud – kuzyn Pierre’a, lekarz i sympatyczny żartowniś wyprawy francuskiej. Załadował mnóstwo rzeczy, nie starając się nawet dobrze wyważyć plecaka, z którego zwisają dopakowane w ostatniej chwili bliżej nieokreślone przedmioty. Jeff idzie jak łamaga, jest nareszcie rozluźniony po prawie dwóch miesiącach pobytu w górach. Mnie również ciężar plecaka zaczyna dokuczać, więc idę z Jeffem jego tempem. Rozmawiamy, przysiadamy co chwila. Pełny luz i swoboda. Jednak przez lodowiec Khumbu przechodzimy bardzo ostrożnie. Boimy się tego cholernego uskoku.

Do bazy dochodzimy po południu. Nareszcie koniec! Ale jeszcze daleko do radosnych powitań, bram triumfalnych i kwiatów. Przystanęłam koło jadalni, w której siedzieli koledzy. Znów usłyszałam jakąś zgryźliwą uwagę Sigiego. No cóż, radość wspólnie przeżyta na szczycie na dole nie zmienia niczego. Kucharz Mingma i kuchcik powitali mnie serdecznie, gratulowali wejścia, podali kubek gorącej herbaty. Prawdę mówiąc, oprócz nich nie bardzo kto miał mi gratulować – zwycięzców było zbyt wielu.

Karla Herrligkoffera nie ma już w bazie. Rano odleciał helikopterem do Katmandu. Zostawił dla mnie krótki liścik, przewidywał bowiem, że wspólny powrót z kolegami wyprawowymi nie będzie moim największym marzeniem. Zaproponował więc powrót z Francuzami helikopterem lub wcześniejsze zejście z filmowcem, Horstem Schumannem i lekarzem, Horstem Laube, uczestnikami naszej wyprawy. Pozostali mieli czekać na powrót z góry wszystkich tragarzy. Jestem głęboko wdzięczna Karlowi, że pomyślał o mnie.

W trakcie całej wyprawy nie wyróżniał mnie i nie interweniował przy konfliktach z zespołem. O większości z nich zresztą nie informowałam go. To była sprawa pomiędzy mną a zespołem.

Wprawdzie nie bałam się już niczego, ale chciałam nareszcie odetchnąć od niechęci czy nienawiści kilku osób, której nie równoważyła serdeczność i przyjaźń innych. Niechęć ma większą wagę w subiektywnym odbiorze, bardziej angażuje i porusza. Nie wiem, czy z czasem wygaśnie. Wiem natomiast, że nigdy już nie będziemy dla siebie obcy. I to nie ze względu na mało przyjacielskie uczucia, ale na fakt wspólnego tworzenia. Uczestniczyliśmy bowiem w zdobyciu szczytu, razem cierpiąc głód i pragnienie, upadając ze zmęczenia. Nie zapomnimy, mimo swarów, że to jest najważniejsze. Nawet gdyby nie

udało się zdobyć Everestu, pozostalibyśmy twórcami. Na razie jednak nie chcę być z nimi ani dnia dłużej.

Wieczorem Francuzi zapraszają mnie na świętowanie swego sukcesu. Siedzimy przy ognisku w kuchni. Dym gryzie w oczy. Popijamy herbatę z brandy. Żarty i śmiechy przerywane są chwilami milczenia i zadumy. W zwycięskiej wyprawie są zwycięzcy i ci, którzy czują się przegrani. Wieczór kończy się wspólną zabawą w wielkim hangarze sprzętowym. Tańczą i śpiewają dziesiątki ludzi – Francuzi, Niemcy, Szwedzi, tragarze, którzy przyszedli z wiosek leżących poniżej bazy. Tańczymy przy nepalskich pieśniach ludowych. Taniec nie jest skomplikowany – trzymamy się pod ręce i w określonych momentach robimy krok do przodu, do tyłu i w bok. Nie zawsze udaje mi się uchwycić właściwy rytm, ale nie przeszkadza to ani mnie, ani nikomu innemu. Późną nocą dochodzę do swego namiotiku wąską ścieżynką wydeptaną w śniegu. Baza wygląda zupełnie inaczej, niż kiedy tu przyszliśmy. Śnieg sięga kolan, między namiotami wiją się wydeptane ścieżki.

19 PAŹDZIERNIKA. Pakowanie, czynności porządkowe, rozliczanie. Francuzi również są w trakcie likwidacji bazy, ale robią to zupełnie inaczej niż my. Nasze ładunki zniosą na plecach tragarze, oni zaś opuszczają bazę helikopterami, których warkot od trzech dni wciąż słychać w powietrzu. Godzina lotu kosztuje 800 dolarów, ale wyprawa francuska jest znacznie bogatsza niż nasza. 20 PAŹDZIERNIKA. Po przejściu kilkuset metrów raz jeszcze odwracam się w stronę bazy. Na pożegnanie Himalaje dostarczają mi jeszcze jednego niezwykle widoku. Ze zboczy przełęcz Lho La w stronę bazy runęła olbrzymia pyłowa lawina świeżo spadłego śniegu. Powiększa się, jak grzyb po wybuchu termojądrowym, ale nie jest groźna. Wiatr nią wywołany wywróci zaledwie kilka namiotów i przysypie bazę cieniutką warstwą śniegu.

Jestem w świetnej kondycji, więc prawie zbiegam twardymi, kamienistymi ścieżkami. Pod górę podchodzę w takim samym tempie, jak schodzę. Nie sapię, nie dyszę, jak to było przed wyprawą. Nie przejmuję się wyrazem niechęci, który pojawia się na twarzach gorzej zaaklimatyzowanych kolegów, kiedy zostają w tyle. Za to pod koniec dnia ledwo idę. Kontuzja kolan. Z trudem dowlokłam się do Namche Bazar. Nie jestem w stanie iść dalej. Umawiam się z kolegami, że zostają i będą czekać na samolocik hotelu „Mount Everest View”. Ten luksusowy hotel, położony nad Namche Bazar, zbudowa-

li Japończycy. Nocleg w nim kosztuje około kilkudziesięciu dolarów, ale za to z okien można oglądać wierzchołek Everestu.

Niestety, noc spędzam w znacznie gorszych warunkach, bo za parę rupii w prymitywnych *lodge* obok pasa startowego. Na domiar złego nie spotkałam tragarza niosącego mój ciężki plecak, w którym oprócz osobistych rzeczy jest kamera i wszystkie filmy z wyprawy. Zostaję prawie bez pieniędzy. Oczekując na samolot, żywię się ryżem z jakimś zielskiem, naleśnikami, piję herbatę i *chang*, czyli piwo z ryżu. Czasem myślę z żalem, a jednocześnie z rozbawieniem, że tak blisko jest wspaniały hotel „Mount Everest”, a ja – bądź co bądź zdobywczyni tego prawdziwego – mieszkam w chacie obok.

Wreszcie pogoda poprawia się na tyle, że samolot może wylądować. Nie mam jednak szans na zabranie się ani tym razem, ani następnym, ponieważ nie potrafię wywalczyć sobie miejsca, a chętnych jest zbyt wielu. I tylko przypadek sprawił, że wyostałam się z Namche Bazar.

Wśród oczekujących na samolot znajdował się francuski uczonec z żoną. Rozmawialiśmy trochę, między innymi i o Evereście. Przy okazji powiedział o mnie dyrektorowi hotelu. Ten natychmiast zaprosił mnie, bym na koszt hotelu odpoczęła kilka dni.

Z prawdziwym żalem musiałam odmówić, ponieważ mój francuski znajomy odstąpił mi miejsce w samolocie. Dzięki niemu 21 października ląduję w Katmandu – wciąż bez bagażu. Na szczęście pamiętam numer telefonu polskiej ambasady.

Minister pełnomocny w Nepalu, Andrzej Wawrzyniak, wyjeżdża po mnie na lotnisko. Od tego powitania rozpoczął się okres, który wynagrodził mi wszystkie trudy, złe chwile i gorycz ostatnich miesięcy. Entuzjazm, serdeczność i ciepłe uczucia wielu ludzi, setki telegramów z gratulacjami, wspaniałe powitanie na lotnisku w Warszawie – takiego podziękowania za polski Mount Everest nie spodziewałam się. Potem było wiele spotkań, wywiadów; chociaż w ten sposób pragnęłam przekazać jak najwięcej z tego, co stało się moim udziałem. Ci, którzy chcieli mnie słuchać, porozmawiać ze mną, obejrzeć zdjęcia z wyprawy, nie mieli szans na przeżycie tego, co ja. Być może marzyli o jakichś własnych Everestach nie mniej niż ja o swoim, być może dzięki mnie – jednej z nich – uwierzyli, że ich marzenia i tęsknoty za czymś „naj” mogą się spełnić...